TYGODNIOWY
PRZEGLĄD LITERACKI
KOŁA • PISARZY • Z • POLSKI

Rok II.Nr.41. /49/ 151 East 67 Street,New York,N.Y. 8.X. 1942

B i s k u p S z l a g o w s k i.

Krótka wzmianka w gazetach, że biskup Szlagowski wybrany został administratorem archidiecezji warszawskiej po zmarłym arcybiskupie Gallu w wielu warszawiakach a napewno we wszystkich rozrzuconych po świecie słuchaczach z pierwszych lat Warszawskiego Uniwersytetu obudziła dalekie a rzewne wspomnienia.

Zanim bowiem ów Uniwersytet stał się tem, czem się stał w ostatnich latach, a więc machiną, mającą wyprodukować dla kilku tysięcy studentów rocznie dyplomy, umożliwiające im zarobek, machiną nie dającą czasu i miejsca na jakieś stalsze współżycie profesorów i słuchaczy, na jakieś bezinteresowne zamyślenie o wiedzy i o życiu - był on w pierwszych paru latach swego istnienia, zdawało się nam, naprawdę początkiem lepszego życia, a jak dziś widzimy, czarującym echem dawnych lat, kiedy Ojczyzna, Nauka, Cnota były jedynemi hasłami całej młodzieży. W tych paru latach tradycje Szkoły Kadetów i Szkoły Głównej były naprawdę drogowskazem dla profesorów i uczniów i wszyscy oni żyli Uniwersytetem i w Uniwersytecie tak właśnie jak rodzina, to znaczy, dążąc do wspólnego celu, kochając się i kłócąc.

Biskup Szlagowski, ówczesny prałat Szlagowski od pierwszego dnia wskrzeszenia naszej Wszechnicy był jednym z najważniejszych, najbardziej kochanych, najbardziej też oddanych tej rodzinie,jej członków. Uchodził on wtedy w Warszawie za pierwszego kaznodzieję dla inteligencji,kształconego na wielkich wzorach, bitego w klasykach i również w romantykach polskich, zakochanego w patosie, w poetycznych metaforach; on też od pierwszej chwili, kiedy stało się to politycznie możliwe, stawał zawsze na kazalnicy u S-go Jana w dniach wielkich narodowych rocznic, pogrzebów sławnych ludzi, aby czcić miłość ojczyzny, zasługę w nauce i sztuce swoim kunsztownym, jak mówiono dziedziczonem po Skardze i Birkowskim,słowem.

Co do mnie, to przyznam się, że w głębi duszy nie czułem nigdy szczególnego zachwytu dla kaznodziejskiego stylu prałata Szlagowskiego, który wydawał mi się właśnie manierą, właśnie zbyt wielkim naśladownictwem i przez to jakby brakiem uczucia. Od pierwszej zato chwili, kiedy zetknąłem się z późniejszym biskupem w Uniwersytecie, wyczułem że jego

serce naprawdę zacne i arcypolskie, wypowiada się znacznie lepiej we współżyciu z młodzieżą, w ramach starej tradycji akademickiej, której on stał się odrazu jednym z najświetniejszych, najbardziej niejako urodzonych przedstawicieli.

Każdy z moich kolegów pamięta dobrze pierwsze dwa lata Uniwersytetu, lata największych nadziei, rodzenia się Polski, której Wszechnica warszawska zdawała się dzielić losy, rówieśnie z nią budząc się ze snu niewoli. Stare drzewa naokół Kazimierzowskiego Pałacu, na którym kładliśmy pewnego dnia tablicę, że w tych murach, w Szkole Rycerskiej, kształcił się Tadeusz Kościuszko, poczciwe aule, sławny bufet, małe pokoiki pierwszej Bratniej Pomocy wieleż słyszały młodych głosów,rozedrganych nadzieją, radością z dobra ogólnego, bez żadnej myśli o własnem! Ileż wspaniałych żartów urodziło się z tej radości, jakże szlachetne spory o różne do tego dobra drogi rozbrzmiewały w tych salach, jakże w nich byliśmy młodzi i szczęśliwi!

Wśród profesorów i przewodników, których ileż razy widzieliśmy sunących przez stary uniwersytecki dziedziniec, parę postaci każdemu z nas szczególnie wraca na pamięć, zżytych bardziej niż inni z warszawską Wszechnicą, ciągle w niej mających coś do czynienia, znanych przez wszystkich bez względu na wydział i przedmiot studiów, pozdrawianych też przez wszystkich studentów.

Więc najpierw rektor Brudziński, smukły, piękny, w najlepszem tego słowa rozumieniem reprezentacyjny, świetny mówca, organizator niebywały, serce czułe i gorące, głowa otwarta do polityki, ale nieprzygotowany ani przez swe słabe zdrowie ani przez dostateczną praktykę do podjęcia historycznej roli, pod którą się ugiął, płacąc dosłownie życiem swe rozczarowania i niespełnione nadzieje, opłakiwany przez młodzież jak ojciec, z którym nieraz było się w wojnie.

A dalej profesor Antoni Kostanecki, z wielkiej profesorskiej dynastii, drugi z kolei rektor, światowy, układny, z jakąś nieuchwytną nutą mimowolnego komizmu we wszystkiem, co mówił, powtarzającą przez kilkadziesiąt pono lat ten sam kurs historii doktryn ekonomicznych z tym samym sławnym dowcipem o Hyde Parku na trzecim wykładzie, zakochany w sztuce i literaturze, autor dramatu "Śpiew Franceski", o którym nikt napewno nie umiał powiedzieć, czy był kiedykolwiek grany, więc prastary dziekan Parczewski, długoletni poseł do Dumy i patriarcha Kalisza, który nigdy przedtym nie będąc profesorem, stał się odrazu typowym ze wszystkiemi czcigodnościami i śmiesznościami, nieodłącznemi od tego fachu;więc przysłowiowy "Koschembahr" Łyskowski, bicz Boży na prawników, łacińsko-austriacki zimny entuzjasta prawa rzymskiego; więc prorektor Wierusz-Kowalski o twarzy i tuszy Sobieskiego, świetny fizyk a później nasz poseł w Hadze, Ankarze i przy Watykanie; więc profesor Tatarkiewicz, wtedy bodaj najmłodszy z wykładowców i obok młodo zmarłego, szykownego nad zawód profesora Edwarda Strasburgera, najbardziej fascynujący nasze koleżanki.

Prałata Szlagowskiego znaliśmy też wszyscy i każdemu z nas pamiętna jest jego nobliwa, szczupła sylwetka, jego piękna twarz z wiecznym młodzieńczym rumieńcem, jego fiolety, nieodłączne od wszelkich ceremonii uniwersyteckich, wielkich inauguracji, zebrań młodzieży z profesorami, zjawiające się wszędzie, gdzie się coś działo mającego związek z Wszechnicą czy studentami, on jeden z pierwszych wybrany był opiekunem Bratniej Pomocy, jeden z pierwszych rektorem Uniwersytetu; czuło się też w nim zawsze, że Uniwersytet jest jego miłością, służba jemu - ambicją i przekonaniem kapłana i Polaka, rozkochanego w dawnych, dobrych tradycjach, w ich społecznem i literackiem pięknie.

Zadania, do których wzywa go dziś Kapituła Warszawska, są napewno ukoronowaniem życia zacnego naszego studenckiego biskupa, ale przyznana mu korona jest koroną cierniową i wszyscy rozumiemy, że przez to właśnie ów wybór jest ważniejszy niż byłby nim kiedykolwiek.

Trzebaby bowiem bardzo mało rozumieć z duszy ludu polskiego, z duszy inteligencji polskiej, nieraz kpiarskiej, napozór nawet cynicznej, dlatego właśnie, że wstydzącej się bardzo głębokich swych uczuć, trzebaby uwierzyć w rzecz tak niemożliwą, jak nagłą zmianę tego co żyło naprawdę, głęboko i twórczo przez tysiąc lat - aby wyobrazić sobie, że związki narodu polskiego z religią zostały naprawdę rozluźnione przez owe niby z "Kordiana" milczenie Watykanu w najcięższych dla nas chwilach, przez politykę światową ostatnich lat różnych kół katolickich, czy przez sytuację dzisiejszą, może niezamierzoną ale podlegającą krytyce, tego czy innego dygnitarza kościelnego.

Gdyby tak było, gdyby owa zbyt ostrożna polityka, jak niegdyś milczenie Grzegorza XVI, jak niektóre akty polityczne Leona XIII mogły naprawdę zaważyć na najgłębszym instynkcie narodu polskiego, na jego, ośmielamy się to powiedzieć, twórczym, heroicznym udziale w rozwoju religijnym ludzkości, na stałej obronie przez naród polski chrześcijaństwa - to po "Kordianie" Słowackiego, po "Rozmowie z Matką Makryną Mieczysławską" nie czytalibyśmy dziś cudownego wiersza Balińskiego "Ballada o dwu świecach", będącego wyrazem tej samej głębokiej, heroicznej polskiej religijności, nie mogącej się pogodzić ze świeckiemi racjami, przeciwstawiającej im jak Mickiewicz, jak Słowacki ową tak bliską bohaterskiemu papieżowi Piusowi XI bezkompromisową religijność katakumb, Joanny d'Arc i arcybiskupa Cieplaka.

Na to, aby takie utwory jak "Rozmowa z Matką Makryną", jak "Ballada o dwu świecach" powstawały trzeba właśnie owej wiary, niewymędrkowanej, instynktownej z serca płynącej, niezdemoralizowanej żadnemi kompromisami, żądającej od ludzi a więc i od kościoła rzeczy nad ludzką miarę, ufnej w możliwość Królestwa Bożego na ziemi, trzeba właśnie najgłębszego współżycia z religią, które napewno teraz właśnie w Polsce obudziło się we wszystkich już duszach, zdolnych do tego współżycia.

Jesteśmy też pewni, że razem z rozczarowaniem, wzbudzonem przez ową ostrożność Rzymu, działa dziś w Polsce przykład iluż polskich, skromnych księży, którzy zginęli bohatersko, iluż biskupów męczonych jak nieszczęsny biskup Fulman, zamęczonych jak staruszek arcybiskup Nowowiejski z Płocka, wzgardliwie wyniosłych wobec wroga jak arcybiskup Sapieha - i że w duszach większości Polaków świeci dziś właśnie jasnym blaskiem poczucie boskości naszego życia, jego mistycznego sensu, któremu zawsze dawały wyraz nasza wielka poezja i literatura od Kochanowskiego po Wyspiańskiego, wypowiadając tem najgłębsze, nieodłączne od duszy polskiej instynkty.

Niezwykły, młodo zmarły poeta, brat Leopolda Staffa, Ludwik Maria napisał kiedyś w cudownym wierszu, powstałym w obliczu śmierci taką to piękną zwrotkę, którą, być może z błędami, cytuję z pamięci:

"Dusza Twa nieśmiertelna, czas dać spokój żartom.
Dotąd taka ułomna, słaba i uboga.
Przystroi się w wieczności suknię niewytartą,
W szatę śmierci, jakgdyby w kożuch Pana Boga."

Napewno w obliczu śmierci, która tylu bliskich zabrała każdemu i nad każdym stoi, niejeden Polak, tak zawsze skłonny do żartów, mówi dziś do siebie: "Dusza Twa nieśmiertelna, czas dać spokój żartom";

wszędzie też i właśnie głównie w krajach katolickich, widzimy oznaki tego wielkiego religijnego poruszenia i natchnione dzieło wielkiego pisarza katolickiego Bernanosa "Lettre aux anglais" daje temu wstrząsowi wspaniały patetyczny wyraz, przepowiadając powrót na ziemię świętych i męczenników, o których przecież wiemy, że się już pojawili w Polsce.

Duchowieństwo polskie, w którem jak wszędzie na świecie, wytworzyły się tradycyjne typy poczciwych wiejskich proboszczów, jurystów, dyplomatów, kapłanów-estetów i światowców, ma za sobą piękniejsze, większe niż gdzieindziej tradycje bohaterskie, które zapełniły karty męczeństwa polskiego imionami wielkich kapłanów-patriotów, nieugięcie walczących za wiarę i Polskę, świadczących swym życiem o religijnej wartości bohaterstwa i przez to o związku patriotyzmu z religią.

W pierwszych latach naszego wieku nie było bodaj katedry biskupiej w zaborze rosyjskim, którejby nie zasiadał biskup, więziony kiedyś przez rząd carski, pod katedrą Ś-go Jana leżą kości kilku arcybiskupów, jak wielki arcybiskup Fijałkowski, którzy stali na czele oporu Polaków; jeszcze na krótko przed poprzednią wojną toczył się w Warszawie, w związku ze sprawą unicką, proces starego biskupa Ruszkiewicza, tego samego, który kiedyś, gdy wielki pan, arcybiskup Popiel powiedział mu: "Ja dałem generał-gubernatorowi moje szlacheckie słowo honoru, że zrobię to, o co nas prosi," odpowiedział: "A ja daję moje chamskie słowo honoru, że tego nie zrobię".

Arcybiskup Gall, pierwszy polski biskup polowy, zrośnięty całą duszą z Warszawą, znany każdemu warszawiakowi, typ raczej proboszcza, pobłażliwego dla życia, sławny ze swego znawstwa wina, okazał się, jak zewsząd szły wieści, godny tych największych bohaterskich wzorów. Jak wielu innych, jak choćby nieśmiertelnego w duszach Polaków prezydenta Starzyńskiego, wielkie wypadki zrobiły go tem, czem był w głębi duszy, wydobywając z niej, co najlepsze. Kiedy jakiś dygnitarz niemiecki przyszedł do niego i rozmawiał nie zdejmując czapki, stary, jowialny arcybiskup kazał sobie przynieść swój kapelusz i włożył go na głowę, gdy gubernator Frank proponował mu wydanie odezwy, wzywającej do posłuchu Niemcom, odpowiedział: "Ja służę Chrystusowi, nie Judaszowi".

Do nikogo, niż do sędziwego już dziś bardzo biskupa Szlagowskiego, zakochanego w naszej wielkiej poezji, w przykładach przodków, w starych murach Warszawy, które słyszały kroki podchorążych i ostatnie westchnienie Traugutta nie może mówić wymowniej, piękniej, do nikogo bliżej nie może podchodzić nasza wielka przeszłość, nikomu poufniej nie może szeptać, że oto przyszła chwila, gdy on może stać się bratem tych wielkich cieni, bratem w cierpieniu ale i bratem w zasłudze przed wszystkiemi pokoleniami, które po nas przyjdą.

Myśląc, jak zawsze, o naszej Warszawie, tak zrośniętej z religią choćby w tylu faktach codziennego obyczaju, jakżesz mogę nie myśleć o naszym starym studenckim biskupie, który w owej Warszawie, opuszczonej, zdawałoby się, przez świat cały, ma modlić się za wszystkich, wszystkich pocieszać i czuwać, aby w jego czynach i w czynach jego księży odbijała się i przez to szerzyła niezłomna wiara Polaków. I widzę go, jak już bardzo ciężko utrudzony idzie staremi księżowskiemi ulicami Warszawy Miodową, Świętojańską czy Kanonią i zdaje mi się, że nie żałuje, że jest w Warszawie i dziękuje Bogu, że zesłał na niego taką próbę.

Jan Lechoń

Młodzieżowa uwertura przyszłej konferencji pokojowej.

W dniach od 2-go do 5-go września odbył się w Waszyngtonie Międzynarodowy Zjazd Studentów, w którym wzięła udział także i delegacja polska. Inicjatorem i gospodarzem Zjazdu, zwołanego pod protektoratem P.Eleonory Roosevelt była I.S.S./International Student Service/.

W zjeździe brali udział przedstawiciele prawie wszystkich państw europejskich, nie wyłączając antynazistowskiej młodzieży niemieckiej i włoskiej. Obie Ameryki reprezentowane były dosyć licznie. Pozatym Afryka Chiny, Indie, Filipiny, Iran.

Wydrukowany i uprzednio doręczony nam program zjazdu zapowiadał cały szereg bardzo ciekawych referatów, bezpośrednio lub pośrednio związanych z zagadnieniem powojennej organizacji świata. My też jechaliśmy na zjazd ze sporym ładunkiem własnych projektów i pomysłów, zdecydowani walczyć do ostatka o wszystkie nasze myśli i racje.

W Waszyngtonie, jeden ze starszych przyjaciół wylał na nasze rozpalone głowy kubeł zimnej wody:

- Nie myślcie, że przyjechaliście na serię rozbrykanych wieczorów akademickich. To jest zjazd międzynarodowy, a więc wielka maszyna, której konstruktorzy wszystko i dokładnie z góry przewidzieli i ustalili. To nie wiec, to kongres.

I istotnie - był kongres. Kongres jak się patrzy z kuluarami i kulisami. Trzeba było dobrze nachodzić się w kuluarach i nagadać za kulisami, by przez igielne ucho prezydialnych decyzji przeprowadzić bodaj część naszych postulatów.

Większość z ołówkiem i gumą.

Ponieważ głównym tematem zjazdu była sprawa powojennej organizacji świata, a dyskusje jak gdyby młodzieżową uwerturą do przyszłej konferencji pokojowej, nic dziwnego, że odrazu zarysowała się - większość. Większość pod względem politycznym "supernarodowa", pod względem gospodarczym i społecznym bardzo radykalna.

Ta właśnie większość z niezwykłym entuzjazmem przyjęła tezę jednego z mówców, hr.Sforzy, który dowodził,że granice przyszłych państw powinny być...narysowane ołówkiem, aby je można było łatwo zatrzeć.

Z rozmów ze zwolennikami "ołówka i gumy",do których należał duży procent uczestników zjazdu i większość młodzieży amerykańskiej,wynika, że ludzie ci pragnęliby regulować skomplikowane sprawy państw europejskich tak,jak reguluje się n.p. sprawy gmin.

- Granice? - Naturalnie muszą być, ale czy ktokolwiek z nas przywiązuje wagę do linii granicznej Teksasu czy Arizony? Musicie i wy oduczyć się tych przesądów.

- Małe państwa już tyle nam narobiły kłopotu. Dosyć - wymażemy je poprostu gumką z mapy i stworzymy pięć czy dziesięć federacji, gdzie wszyscy żyć będą w spokoju i miłości, szanując prawa bliźnich...

Trzonem większości zjazdowej był radykalny odłam młodzieży amerykańskiej. Jej sposób myślenia był ze szczególnym entuzjazmem podtrzymywany przez młodzież antynazistowską z krajów osiowych. Ludzie ci,którzy znaleźli się w tragicznej sytuacji,bo własne przekonania i barbarzyństwa totalizmu nakazują im walkę z "Osią" - w rzeczywistości albo już się zaczęli wynaradawiać, albo starają się pogodzić tak trudne do pogodzenia rzeczy jak walkę przeciw osi ze staraniami o jaknajlepszą przyszłość Niemiec i Włoch. Konsekwentnie więc dążą oni do tego, by przyszły porządek polityczny w świecie był ponadnarodowy. Liczą pozatym, że tylko taki ponadnarodowy polityczny porządek w świecie ochroni Niemcy

i Włochy przed zemstą narodów dziś podbitych. Zasadniczo ten nowy ustrój świata polegać ma na powszechnej federacji. Nikt jednak nie powiedział, jak konkretnie ma ta federacja wyglądać. Bardziej konkretnie zarysowały się plany gospodarcze, ale nie czuję się na siłach, by je referować.

Mniejszość "surveyorów".

Surveyor znaczy po angielsku geometra. Otóż jeden zapalony super czy nadnarodowy maksymalista, a pozatym gorący zwolennik Sowietów powiedział, charakteryzując mniejszość zjazdową:

- Oni chcieliby przyszłą konferencję pokojową zmienić w zebranie surveyorów z cyrklami i nie wyrysować ale wypalić na mapach granice swych krajów.

Niech będzie - surveyorzy. Otóż tę mniejszość, która składała się z nieradykalnych odłamów młodzieży amerykańskiej, Anglików, Kanadyjczyków, Polaków, a miała swych zwolenników w szeregach innych delegacji - określiłabym mianem realistów, co nie znaczy bynajmniej, by nie byli oni idealistami. Mniejszość liczy się z warunkami istniejącymi, wie, że w Europie istnieją silne prądy narodowe, wie, że nie można i nie należy ich niszczyć, że trzeba je tylko utrzymać we właściwych granicach za pomocą międzynarodowego systemu bezpieczeństwa tak, aby nacjonalizmy nie zagrażały bezpieczeństwu świata. Tylko właśnie przez wysublimowanie tego nacjonalizmu, przez odpowiednie wychowanie młodzieży w duchu narodowym, ale nie imperialistycznym, po długiej i żmudnej pracy przyjdzie wreszcie pokolenie, dojrzałe do federacji ogólnoświatowej, świadome wartości swego narodu, szanujące narody inne. Mniejszość w całej pełni zdaje sobie sprawę, jak wiele będzie trzeba poświęceń, jak ciężkiej pracy, aby świat rządził się sprawiedliwie i rozsądnie. Młodzież ta nie cofa się przed gigantyczną pracą, nie należy ona do tych, co mierzą zamiary według sił, ale wiedząc i doceniając jak doniosłe są te zamiary, chcą zgromadzić taki zapas sił, aby nie stanąć w połowie drogi, która będzie długa i trudna. Więc nie rysować ołówkiem granic, przeciwnie ustalić granice trwałe, zabezpieczając równocześnie bezpieczeństwo i tworząc jakieś stałe formy współdziałania gospodarczego wszystkich narodów.

Wśród mniejszości panował duch narodowy i chrześcijański.

"Dobrzy" Niemcy.

O "dobrych" Niemcach słyszało się w czasie zjazdu często i wiele. Przedostatniego dnia, idąc na round table, poświęcony sprawom edukacyjnym nie spodziewałam się, że i tam sprawa "dobrych" Niemców stanie się ośrodkiem dyskusji. Round table prowadził prof.L., człowiek bardzo rozsądny i inteligentny. Po dwóch referatach rozpoczęła się dyskusja, która w drugiej swej części dotyczyła problemu młodzieży niemieckiej, t.zn. właściwie Niemców po wojnie. I tu znów dwa odmienne poglądy. Radykalni Amerykanie, podtrzymywani przez antynazistowskich Austriaków, płomiennie dowodzili, że nie chcą zemsty nad Niemcami, że po wojnie wybiorą się oni do Rzeszy z książkami i innymi pomocami naukowymi i tam, jako apostołowie dobrej sprawy, przemienią Niemców.

- A co z tymi, którzy nie zechcą się przemienić?
- Takich nie będzie...

To za bardzo, powiedziałabym, idealistyczne stanowisko dowodzi absolutnej nieznajomości nietylko Niemiec, ale tego co robili oni i robią w krajach okupowanych, przedewszystkiem w Polsce.

Prof.L. wypowiedział swój sąd o młodzieży niemieckiej krótko i kategorycznie: "Powinna być traktowana w części jak zbrodniarze, w części jak niedorozwinięci ze zbrodniczymi instynktami."

Młodzież krajów okupowanych ilustrowała tezę prof.L. szeregiem przykładów z historii trzyletniego terroru. Śmiało bowiem można powie-

i Włochy [illegible] zemsty narodów [illegible] pobitych. Zasadniczo ten nowy ustrój świata polegać ma na powszechnej federacji. Nikt jednak nie powiedział, jak [illegible] na tą federację wyglądać. Dardziej [illegible] zatrzymały się planem gospodarczym, ale nie [illegible] się na słów, by je zrealizować.

Niejasność "surveyorów".

[illegible] surveyor [illegible] po angielsku geometra. Otóż jeden z ważnych super [illegible] międzynarodowy zakreślił, a początku potrzeby swoich [illegible] pewien [illegible] o [illegible] całą tę niejasność sytuacji:

- Oni określiliby przez [illegible] konferencję pokojową zasadnie [illegible] surveyorów i [illegible] i nie wyrzucać ale wyjaśnić na nowych [illegible] tego krajów.

Niech będzie - surveyorowie, otóż te niejasność, które [illegible] się z niezależnych odłamów młodzieży [illegible], Anglików, [illegible] ków, Polaków, a [illegible] swych zwolenników w szeregach innych dziedzin - [illegible] wielu polityków, co [illegible] by nie byli oni idealistami. Niejasność [illegible] się z [illegible] różnych, [illegible], że w Europie [illegible] rządy narodowe, [illegible] że nie można i nie [illegible] [illegible], że trzeba je tylko [illegible] ze [illegible] granicach za pomocą międzynarodowego systemu [illegible], by [illegible] nie zagrażały [illegible] światu. [illegible] pracy wyszkolonego tego nacjonalizmu, przez [illegible] w domu i szkole, do nie [illegible], po długiej i żmudnej pracy przyjdzie [illegible] pokolenia, dojrzałe do federacji ogólnoświatowej, [illegible] wartości swego narodu, szanujące [illegible] i w [illegible] sobie sprawę, [illegible] jak [illegible] pracy, aby świat zaczął [illegible] i rozsądnie, [illegible], że nie [illegible] się przed gigantycznym [illegible] do [illegible] który [illegible] Niemcy i [illegible] za te zamiary, chcą urządzić tak [illegible], aby nie zdołać w [illegible] które będzie [illegible] i [illegible] nie wyjdzie [illegible] granice, [illegible] nastąpi [illegible] i [illegible] jakieś [illegible] formy współdziałania gospodarczego [illegible] narodów.

Wśród niejasności panować [illegible] i [illegible].

"[illegible]"

O [illegible] z [illegible] [illegible] ich młodzież [illegible] na [illegible], [illegible] edukacyjnym nie [illegible], że i tam [illegible] "dobrych" Niemców trzeba się [illegible] wypadki. [illegible] [illegible] każdych [illegible] pos-[illegible] i [illegible], [illegible] [illegible], które w drugiej swej części dobyczyła [illegible] [illegible] t.zn. [illegible] [illegible] po wojnie, i [illegible] polityczny, najwyżej Amerykanie, [illegible] przez [illegible], [illegible] dowodzili, że [illegible] [illegible] wyniki [illegible] nich, [illegible] i [illegible] [illegible] tylko [illegible] [illegible], [illegible] Niemców.

- A co z tymi, którzy nie zechcą się poprawić?

- Takich nie będzie...

[illegible] idealizm [illegible] [illegible] [illegible], niech tylko Niemcy [illegible] tego co robili oni i [illegible] w [illegible] przez [illegible] w Polsce.

[illegible] [illegible] [illegible] [illegible] i [illegible] powinna być traktowana w [illegible] jak [illegible], [illegible] jak [illegible] za [illegible].

[illegible] [illegible] ilustrowała [illegible] [illegible] [illegible] i [illegible] [illegible], [illegible] [illegible]-

wiedzieć,że terroru tego dopuszczają się nie poszczególne jednostki i grupy,lecz całe młode pokolenie niemieckie.

Deklaracja słowiańska.

Pierwszego dnia usiadłyśmy z moją koleżanką polską na trawie by odpocząć.Po chwili zbliżyła się grupa studentów Słowian.Zaproponowali, aby coś wspólnie zaśpiewać. Ale co? - Jakąś pieśń słowiańską.Szukaliśmy, nie znaleźliśmy. Oni nie znali naszych piosenek,my ich.Czesi nie znali jugosłowiańskich,Jugosłowianie czeskich. Próbowaliśmy,ale melodia się rwała,zaczęliśmy mruczando,ale fałszowaliśmy...

Polacy zostali zaproszeni na słowiańską konferencję w wyniku której miała powstać wspólna deklaracja. Przyznam się,że miałam tremę,ale postanowiliśmy trzymać się mocno. Chcemy przecież tej wspólnej słowiańskiej zgody i przyjaźni,ale Polska i jej sprawy muszą znaleźć należyte zrozumienie u wszystkich braci Słowian. Byłam na poprzednim małym zebraniu przygotowawczym i tam przebąkiwano coś o tym,jakoby powojenna okupacja przez Rosję niektórych krajów miała być usprawiedliwiona obroną tych narodów przed Niemcami. Zapytałam,czy nieproszona okupacja da się pogodzić z zasadami Karty Atlantyckiej. Odpowiedzi nie otrzymałam,ale o całej sprawie więcej już nie było mowy.

Na głównym zebraniu słowiańskim delegacja rosyjska wysunęła projekt deklaracji. Deklaracja mówiła o walce z Hitlerem,o ofiarach jakie narody słowiańskie w tej walce poniosły i zagładzie,jaka grozi Słowianom wrazie zwycięstwa Niemiec.

Ale były także takie punkty,na które delegacja polska nie mogła się zgodzić:Apel do organizacji podziemnych w Polsce i Czechosłowacji, aby powstały natychmiast i w ten sposób pomogły Rosji Sowieckiej,oraz apel do państw sprzymierzonych,by natychmiast i nie zwlekając otworzyły drugi front.Wtedy podniosłam się i w imieniu polskiej delegacji zażądałam zmian w tych punktach.

- Czy nie rozumiecie państwo,że nam sytym i bezpiecznym nie wolno dyktować rozkazów tym,którzy codziennie prowadzą śmiertelną,codzienną walkę z wrogiem?

Nikt nie oponował.

- Jeśli zaś chodzi -dowodziliśmy w dalszym ciągu- o tak zwany Drugi Front,to jest to sprawa czysto militarna,a my nie możemy popierać złych obyczajów,polegających na tem,że dyletanci dyktują sztabom decyzje strategiczne.

Na to powstała istna burza,usłyszeliśmy wiele ostrych słów.Trzeba było użyć ostatniego argumentu.Oświadczyliśmy,że o ile nie zmienią tych dwu punktów,to nie będziemy mogli podpisać deklaracji. I wtedy zaczęła się znowu spokojna dyskusja punkt po punkcie.

Zmieniono apel do podziemnych organizacji na pozdrowienie dla tych,którzy mimo ciężkich warunków nie ustają w walce i pracy. Zamiast żądania,aby natychmiast otwarto Drugi Front,wyrażono nadzieję,że akcja na zachodzie zacznie się zanim Niemcy rozgromią Rosję i całe swe siły obrócą przeciw Anglii i Ameryce. Wtedy deklarację podpisaliśmy. Dyskusja bardzo się przydała,wyjaśniła wiele kwestii,nauczyła nas wielu rzeczy. Zadowoleni i w zgodzie rozeszliśmy się.

Indie,Indie...

Od pierwszego dnia do ostatniego kongres rozbrzmiewał słowem Indie.Delegat hinduski,ciemny chłopak z błyszczącymi oczyma i wielkim darem wymowy dwoił się i troił i mówił,mówił. Słuchali wszyscy.Znowu powstały dwa obozy,większość i mniejszość,tylko że tym razem mniejszość zwyciężyła.

Zasadniczo wszyscy chcieli niepodległości dla Indii.Różnica polegała na tym,że większość chciała widzieć Indie niepodległe natychmiast

a mniejszość dopiero po wojnie. Początkowo większość zwyciężała,nawet umieszczono odpowiedni punkt w ogólnej deklaracji,ale Anglicy,którzy oczywiście byli trzonem mniejszości,odbyli konferencję z Hindusami i zwyciężyli. Punkt zmieniono w tym sensie,że między Wielką Brytanią a Indiami mają być wznowione negocjacje,które mają doprowadzić do nadania większej politycznej wolności Indiom,tak ażeby ich mieszkańcy mogli stanąć u boku Anglii i owocnie walczyć ze wspólnym wrogiem.

Deklarację podpisał i ciemnowłosy gorący Hindus i spokojny,stanowczy Anglik.

Sprawy polskie na zjeździe.

Z wyrazami sympatii i pomocą spotkała się delegacja polska ze strony przedewszystkiem Anglików,Kanadyjczyków,Chińczyków a także oczywiście i wielu Amerykanów.

Stwierdzić mogliśmy,że nawet wśród elity młodzieży świata panuje wiele bałamutnych opinii o Polsce. Pytano mnie często,dlaczego przed tą wojną w Polsce rządzili magnaci i uciskali chłopów,dlaczego nie przeprowadzono radykalnej reformy rolnej,dlaczego Polska nie zawarła unii z Białorusinami,których notabene utożsamiano z Rosjanami.

Stwierdziłam,że wielu cudzoziemców czytało książkę Sapieżyny o Polsce i chociaż nawet oni zdają sobie sprawę ze stronniczości autorki, to jednak nie znając Polski,uczą się o niej z tej książki fałszywie i źle.

Polska delegacja przywiozła na zjazd projekt,który był naszą nadzieją i okiem w głowie. Był to projekt stworzenia tutaj w Ameryce organizacji,któraby,tak jak Lend and Lease - chleb, zaraz po wojnie zawiozła do krajów okupowanych,przedewszystkiem do Polski jako najbardziej pod tym względem zniszczonej, gotowe komplety bibliotek,urządzenia laboratoryjne,projekty odpowiednich wynalazków w dziedzinie naprzykład rolniczej poczynionych tu podczas tych trzech lat wojny,kiedy Europa nie mogła na tym polu pracować.

Przewodniczącemu polskiej delegacji udało się wniosek ten w formie ogólnej i skróconej włączyć do rezolucji,podpisanej przez wszystkie delegacje na zjeździe. Pozostali członkowie delegacji polskiej popularyzowali treść projektu wśród studentów i profesorów z dobrym skutkiem.

Praca nad realizacją tego wniosku dopiero się zaczęła,ale będziemy się starali ją kontynuować aż do pomyślnego końca.

Krystyna Strzetelska

Swiatynia kultury polskiej.

Skromna, szczupła broszura, która pewnego dnia zawitała do mego pokoju wraz z inną pocztą, stała się przyczyną głęboko przejmujących wspomnień, które już nie opuściły mnie cały dzień. Ileż to niezapomnianych przeżyć, korzeniami na dnie duszy osiadłych, wyniósł człowiek z tych świątyń polskich relikwii, jak Muzeum Czartoryskich, skarbiec na Wawelu, Muzeum Narodowe w Warszawie, galeria w Sukiennicach, czy wreszcie Muzeum Wielkopolskie. Ów blask polskości, który promieniał z płócien naszych malarzy, ze starych iluminowanych mszałów, z pasów słuckich, ze zbroi błyszczących czy z wzorzystych makat - kształtował i pogłębiał miłość Polaka do przeszłości ojczyzny. Muzea, w rozniecaniu tej najdroższej żarliwości spełniały rolę niemniejszą od polskiej książki czy kompozycji Szopena.

To też z pewną tkliwością wertowałem kartki rocznika Archiwum i Muzeum Zjednoczenia Rzymsko-Katolickiego w Chicago. Jest to przecież dziś jedyne polskie muzeum poza krajem, jedyne muzeum, które nie uległo zniszczeniu. Czytając, jakie skarby polskiej kultury znalazły tam schronienie, nie mogę odżałować, że dotąd nie miałem możności być w Chicago, by napoić się tymi cudami, tak nieodzownymi dla życia. Przyznam się, iż nie wiedziałem, że muzeum polskie w Chicago jest tak bogate. Oczywiście o wyliczeniu wszystkich, choćby najważniejszych eksponatów niema mowy. Już same cyfry są imponujące: 6000 książek, 10000 obrazów i plakatów, 2000 fotografii, 5000 autografów i manuskryptów, 2000 monet i medali, 100 sztandarów, mundurów, kostjumów i t.d. Osobny dział pamiątek po Paderewskim, między innymi ostatni jego fortepian, obrazy polskich mistrzów, jak np.Wojciecha Kossaka, polskie stroje ludowe, bogaty dział pamiątek z emigracji polskiej w Ameryce oraz olbrzymia kolekcja poloników w angielskim języku - całe to olśniewające bogactwo powinno stać się celem masowych pielgrzymek wszystkich Polaków w Stanach Zjednoczonych.

Zasłużony historyk i ruchliwy kierownik Muzeum prof.Haiman, któremu zawdzięczamy ocalenie przed zagładą wielu cennych pamiątek narodowych, nie poprzestał na organizacji Muzeum. Rozwija bowiem pozatem żywą działalność kulturalną. Więc między innymi Muzeum wysłało do uchodźców w różnych krajach 1030 książek polskich. Tylko ci, którzy tułali się po świecie jako bezdomni wygnańcy, wiedzą, czem była polska książka w tych straszliwych chwilach ich życia. W okresie zimowym odbywają się w salach Muzeum cykle wykładów z zakresu historii i kultury polskiej. Wreszcie są organizowane stale różne specjalne wystawy.

W przepięknej i miłością dla Polski przepojonej przedmowie,prof. Eric P.Kelly pisze, że w obliczu spustoszonej Polski, Muzeum w Chicago stało się jedynym schroniskiem symbolów polskiej kultury, z której Polacy mogą być dumni, że wobec tego obowiązkiem każdego Polaka jest popierać tę placówkę, przez nadsyłanie pamiątek polskich w formie darów lub depozytów oraz przez wstąpienie w poczet miłośników Muzeum.

Ten szlachetny apel amerykańskiego uczonego powinni wszyscy bez wyjątku Polacy wziąć sobie do serca.

Zenon Kosidowski

T i m e   b o m b.   Powieść.

Dokończenie części pierwszej.

Profesor położył rękę na czole Degena, tak jak ją trzymał, kiedy weszła Letycja. Zrobił to z nawyku starego lekarza,ale Wanda zobaczyła w tym coś nierównie większego. Zdziwienie jej przeszło w podziw. Rozumiała już,że nie płakał,oczywiście,że nie może rozczulać się nad sobą, kiedy czeka pacjent,ale on - jak do własnego syna! Z ojcowską czułością do niego! To już nie angielska kultura,ale jakaś nieskończona dobroć.

-I jeszcze z sercem do tego zbója!- szepnęła mimowoli do Letycji,ale na tle ciszy szept jej zabrzmiał głośno i profesor ku jej przerażeniu odpowiedział.

-A jak to było z papierosem,Miss Wanda?

Co z papierosem? Z jakim? Dopiero po chwili zrozumiała. Ona też nie potrafiła złem płacić za krzywdy swoje i swoich. Tak jak on. Ten uczony Anglik i ona, prosta dziewczyna z Polski, są strasznie podobni. Różni

ich wiek, język,rasa,wykształcenie i te jakieś nawyki,o których asystent mówi,że są wszystkiem,ale to wszystko - to bardzo nie wiele. Oczywiście, profesor inaczej myśli i ona nie wie,co on nagle powie,ale wie,co czuje i zrobi. Czuje to co ona i zrobi tak jak ona. Bo na pewnej głębokości, głębiej niż język,wykształcenie czy te nawyki,są oni tacy sami. Czuła to z jakąś bezpośrednią oczywistością. I wszyscy tu są tacy sami. I Mrs. White,gdy mówi,że nikt z nich nie potrafiłby zabić człowieka,i Mrs.Karfunkel,gdy widzi w człowieku coś boskiego,i ten asystent,choćby o tym człowieku wygłaszał Bóg wie jakie psie teorie. Dla nich wszystkich człowiek jest czymś bez porównania większym niż najpiękniejszy domek czy fortepian czy nawet ukochany pies. Bo w nich wszystkich - gdzieś głęboko, głębiej niż kultura angielska czy polska - żyją jakieś przykazania o miłości bliźniego,jakieś w dzieciństwie słyszane przypowieści o miłosiernym Samarytaninie. Gdy patrzą w oczy rannego,choćby to był zbrodniarz, który dziesięć razy zasłużył na śmierć,odzywa się jakiś głos "nie zabijaj"

Innym jest tu między nimi tylko ten przedstawiciel rasy panów.Ci zrobili przykazanie z zabijania i umieją zabijać,patrząc prosto w oczy. Albo strzelać w tył głowy,tak żeby kula wyszła środkiem czoła.Zabawę tę uprawiali z upodobaniem na Żydach w Warszawie.

Wanda poczuła jakby w niej,wewnątrz jej ciała rozlewało się coś gorącego.Gdy doszło do serca - serce zaczynało bić żywiej,gdy doszło do rąk - musiała zacisnąć pięści. Tajemnicza fala gorąca dochodziła widocznie do mózgu,bo rozumiała wszystko doskonale i pamiętała tak,jakby w tej chwili patrzała na wszystko,co kiedykolwiek działo się koło niej.Zobaczyła dziwną jasność.Przypomniał się jej ten samolot.Zobaczyła go zupełnie wyraźnie,tak jak wtedy na dachu,gdy oświetliły go reflektory.Widzi nawet te czarne krzyże...

-Więc co tu mamy? - usłyszała,jak pytał profesor.

-Uszkodzenia stawów barkowych przy upadku z...

-Bo już i niebo chcą okupować,szatany z czarnemi krzyżami na skrzydłach! Mało im,że z ziemi zrobili piekło!- Widziała to właśnie i myślała ale nie wiedziała,że głośno mówiła.Zdziwiła się,gdy asystent podszedł do niej.

-Co pani jest?

-Nie wiem...jakoś strasznie dziwnie...- odpowiedziała i chciała przeprosić,ale nagle zobaczyła zupełnie wyraźnie na tym samolocie to właśnie - To czego nie mogła przypomnieć sobie.- Widzę!Widzę znowu...Na boku ma.

Ale samolot znikł,wpadł w ciemność,i tylko straszny szum słyszała a potem gwizd tej bomby. Chciała się rzucić na twarz,gdy świat zawirował i wszystko znikło.

Asystent ułożył ją na noszach i chwycił za puls,Miss Violet biegła z jakąś iniekcją.

-Nie można zliczyć tętna. Przeszło dwieście.

-Jakaś komplikacja.

-Może wylew wewnętrzny.

Uciszyli się, bo zaczęła poruszać ustami, jakby chciała coś powiedzieć. Usłyszeli jednak tylko jakieś niewyraźne, niezrozumiałe słowo, powiedziane po polsku.

/Koniec cz.I/

Antoni Cwojdziński